

Andrzej Nowak

Dziedzictwo, język, wolność – i ewaluacja

Było już w naszej historii kilka apeli do władz w sprawie przyszłości polskiej humanistyki. Warto przywołać ten, który powstawał, kiedy sam humanizm i jego idee zawitały do Polski. Zacytujmy instrukcję, jaką sformułowali obywatele zgromadzeni na sejmiku wielkopolskim w Środzie, 14 listopada 1534 roku. Miała zostać przedstawiona przez posłów na sejmie. Brzmiała tak: „Item prossimy, abi nam xiąnsza nie bronili imprimowacz po polsku historei, cronik, praw naschich i thesch inschich rzeczy...” (Acta Tomiciana, t. XVI, cz. 2, oprac. Władysław Pocięcha, Wrocław 1960, s. 357). Pojawił się więc, już 485 lat temu, postulat, by dzieła z tego zakresu, który dziś określamy właśnie jako dziedzinę nauk humanistycznych, społecznych i prawnych, tworzyć i udostępniać w języku polskim. Bo to nasz język. Jak był wtedy jeszcze niewprawny w pisaniu, w swoich zasadach ortograficznych i gramatycznych, świadczy sam ten cytat. Pod wpływem reformacji, obywatele wielkopolscy, chcieli wyemancypowania polszczyzny spod dominującego wpływu łaciny. Łacina była potrzebna (i jest piękna nadal), tak jak potrzebny jest dzisiaj język międzynarodowej nauki – angielski. A jednak od czasu sejmiku w Środzie język polski, wypełniając stopniowo życie publiczne w Rzeczypospolitej, zaczął swój „pionowy start” do rangi języka dojrzałego do artystycznego wyrażania najczulszych odcieni ludzkich emocji, co już po kilku dekadach udowodni poezja Jana Kochanowskiego. Zaczął także być szlifowany do roli narzędzia, którym precyzyjnie można opisywać rzeczywistość i odnajdować w niej miejsce: jednostki i wspólnoty. Sprzyjał temu rozwój drukarstwa, kształtowanie się w czasach Renesansu sfery publicznej i nowej struktury komunikacyjnej w skali całej Rzeczypospolitej. Tak się złożyło, że już rok po wydaniu instrukcji dla posłów wielkopolskich, ukazało się tłumaczenie wielkiego dzieła Macieja z Miechowa: *Tractatus de duabus Sarmatiis* – pod pięknym teraz tytułem: *Polskie wypisanie dwojej krainy świata*. Wprowadzany do nauki język polski zaczynał się rozwijać i dojrzewać. W tymże tłumaczeniu po raz pierwszy w naszym języku pisanym pojawiło się, w roku 1535, określenie „Polska”, trzynastą razy powtórzone. Oczywiście ludzie używali już od dawna tego określenia, ale jego wejście do języka pisanego, drukowanego (w tym przypadku w drukarni Floriana Unglera) było ważne – bo stanowiło cezurę, za którą zaczyna się nowe znaczenie związku między polszczyzną, budowaniem wspólnoty polityczno-kulturowej i – nauką.

Ludzie „złotego wieku” naszej kultury rozumieli wagę obecności w tym, co nazywamy obiegami międzynarodowymi, a co wyrażało się wówczas po łacinie. Gdyby jednak ograniczyć sens rozwoju nauki polskiej tylko do wydanego kilka lat później jej największego może arcydzieła: *De revolutionibus orbium coelestium*, prześlepiłobyśmy inny jej aspekt: ten właśnie, który ujawnia żądanie obywateli z 1534 roku. Nasze historie, prawa i inne rzeczy, które są dla naszego samorozumienia ważne, które poszerzają pole naszej debaty – to wszystko powinno być publikowane po polsku, bo tak najlepiej sami siebie możemy wyrazić. Dzięki obecności tego języka w sferze nauk

humanistycznych, graniczącej bezpośrednio z naszym życiem publicznym i wzmacniającej możliwości naszej kultury, zyskaliśmy w ciągu minionych pięciuset lat coś, co nie jest tylko godnym szacunku dziedzictwem, ale również aktualną zdolnością debatowania nad naszą tożsamością, nad jej wielorakimi sensami i ich odniesieniem do wartości uniwersalnych. Chodzi o debatę nie jedynie wśród uczonych, w świecie akademii, ale tę, w której mają prawo uczestniczyć wszyscy obywatele i do której powinniśmy przygotowywać i przyciągać także nowe pokolenia. Tak jak poprzednie przygotowywały dzieła Naruszewicza, Lelewela, Tarnowskiego, Chrzanowskiego, Kleinera, Pignonia, Ehrenkreutz Jędrzejewiczowej, Bystronia czy Kostrzewskiego. To były dzieła kierowane poza mury akademii, to byli autorzy piszący nie tylko na potrzeby wysokopunktowanych, zagranicznych czasopism naukowych, ale również na potrzeby swojego społeczeństwa. Chcieli wchodzić z nim w dialog. A ten możliwy jest, w Polsce, akurat w tym szczególnym języku. Oni rozumieli, że takie jest właśnie powołanie, albo – powiedzmy mniej patetycznie – specyficzny obowiązek przedstawicieli nauk humanistycznych.

Dlaczego jednak przywołuję te historyczne nazwiska i stare dokumenty? Bowiem wyrażają one pewien aspekt nauki, a przynajmniej jej części, który jest od lat nie dostrzegany przez twórców kolejnych reform, zaś efekt tych przeoczeń zdaje się kumulować w najnowszej reformie, zwanej Konstytucją dla Nauki.

21 grudnia ubiegłego roku napisałem *List otwarty do prezesa Jarosława Kaczyńskiego w sprawie wolności polskiej humanistyki*. List w bardzo krótkim czasie zyskał poparcie kilkudziesięciu luminarzy polskiej nauki. Dzięki temu zapewne zdobył także pewien rezonans publiczny. Doczekał się polemiki ze strony twórcy reformy, ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, jak również osobistego zainteresowania tą sprawą ze strony Prezydenta Rzeczypospolitej. Przede wszystkim jednak wpisał się ten list w znacznie dłuższą historię krytyki, zgłaszanej w sprawie tzw. Konstytucji dla Nauki przez część środowiska nauk humanistycznych i społecznych. Nadzwyczajny Kongres Humanistyki Polskiej jest tej krytyki wyrazem najbardziej wymownym. Z serca dziękuję za zorganizowanie tego, tak potrzebnego spotkania i jednocześnie przepraszam najmocniej za to, że nie mogę tu być z powodu zaplanowanego wcześniej udziału w konferencji naukowej w Poznaniu. Poinformowany o tym prezes PTH, profesor Krzysztof Mikulski, zaszczylił mnie jednak, mimo to, propozycją przygotowania krótkiego tekstu do ewentualnego wykorzystania w czasie obrad Kongresu.

Nie będę więc powtarzał wątpliwości już wyrażonych przeze mnie we wspomnianym liście oraz publicznej polemice z ministrem Jarosławem Gowinem. Przypomnę tylko, że reforma, na pewno pod wieloma względami potrzebna, na pewno kierowana dobrymi intencjami – zwiększenia pozycji polskiej nauki w rankingach światowych i wyeliminowania nadużyć występujących także w naszym życiu naukowym – krytykowana była przez indywidualnych uczestników tego życia, jak również przez Komitet Kryzysowy Humanistyki Polskiej z wielu różnych powodów. Wydaje mi się, że dobrze

syntetyzuje wszystkie najważniejsze kwestie opracowany na ten Kongres tekst profesora Jana Woleńskiego, jak też wyraża je jeszcze bardziej zwięźle przygotowany projekt uchwały.

Znajdujące się wśród tych kwestii zagadnienia klasyfikacji dyscyplin naukowych, wskaźników kosztochłonności, a zwłaszcza sprawa rozporządzenia ustalającego decyzją Ministerstwa listę wydawnictw i czasopism, w których powinni publikować polscy uczeni – były także przedmiotem rozmowy, na którą zostałem zaproszony w dniu 15 stycznia do pana ministra Jarosława Gowina. Zapewne na Kongresie przedstawiciel Ministerstwa powtórzy argumenty, które wówczas usłyszałem, być może je wzbogaci nowymi. Nie wiem, czy będą przekonujące dla uczestników Kongresu.

W trakcie wspomnianej rozmowy dowiedziałem się, że reforma wychodzi naprzeciw oczekiwaniom humanistów, ponieważ zwiększa „wagę” monografii w ewaluacji tak jednostek naukowych, jak też samych badaczy, z 20 punktów do 80 w przypadku większości wydawnictw z nowej listy ministerialnej, a także dopuszcza w tzw. kryterium trzecim ewaluacji wysoką ocenę dla publikacji warsztatowych (słowniki, wydania źródeł). Niestety – wciąż nie ma tu jednak miejsca na także potrzebną w humanistyce pracę popularyzatorską, skierowaną do własnego społeczeństwa, na syntezy, które nie są – jak sama nazwa wskazuje – monografiami i w związku z tym mogą w ogóle nie być „punktowane”.

Usłyszałem również, że krytykowana lista czasopism nie jest „wynałazkiem” tego kierownictwa Ministerstwa, ale obowiązuje od 2007 roku. Zwróciłem zatem uwagę, że jeśli coś zostało wprowadzone wcześniej, nie znaczy, że jest automatycznie dobrym pomysłem i że kontynuacja, a nawet wzmocnienie tendencji zainicjowanych przez poprzedników (a ściślej: poprzedniczki) na urzędzie Ministra Nauki nie rozwiązuje problemu, ale go powiększa. Chodzi o problem centralizacji systemu wyznaczającego listę czasopism preferowanych punktowo przez Ministerstwo oraz oparcie owej listy na założeniu, że zagraniczne (po angielsku) jest niejako z definicji lepsze/ważniejsze od tego, co po polsku.

W sprawie nowego pomysłu Ministerstwa: urzędowej listy wydawnictw i przydzielonej im punktacji – konsekwencje wydają mi się podobne. Lista ma bowiem, jak się dowiedziałem, zawierać 36 uznanych za najbardziej prestiżowe wydawnictw światowych, publikacja w których będzie oceniana na 200 punktów. Nieco ponad 200 innych wydawnictw zagranicznych i około 250 polskich ma znaleźć się na ministerialnej liście – z „wyceną” na 80 punktów. Podkreśliłem zatem raz jeszcze wady takiego centralistycznego reglamentowania, jak również konsekwencje tego podejścia dla publikowania w języku polskim, zredukowanego do rangi języka podrzędnego. Pan wicepremier Jarosław Gowin powtórzył jednak swój wyrażany już wielokrotnie argument o potrzebie „dyplomacji naukowej”, prezentowania osiągnięć naszej humanistyki na forum światowym, czemu ma służyć system punktowych „zachęt” ze strony Ministerstwa. Zauważyłem, że konsekwencją tego podejścia może być podporządkowanie polskiej humanistyki i jej swoistych potrzeb oraz roli społecznej aktualnym modom ideologicznym i kryteriom w naturalny sposób nie uwzględniającym tych potrzeb i

tej roli. Żeby „wysoko zapunktować”, trzeba pisać tak, jak sobie życzy np. redakcja „Hypatii” z listy filadelfijskiej, a nie tak jak np. mógłby życzyć sobie, żeby rzetelnie analizować artyzm jego słowa Bolesław Leśmian (to można zresztą robić tylko po polsku – i nie ma powodu, by takie właśnie kwestie badawcze pozostawały na dnie systemu ewaluacyjnego, tylko dlatego, że nie wybrzmiały po angielsku lub nie zostaną przyjęte do druku w „imperialnym” Centrum nauki, jako mało interesujące kwestie Peryferii polskiej).

Zaprezentowane w reformie podejście do ewaluacji wydaje mi się raczej przestarzałe. Zamiast podporządkowywać się dyktatowi redakcji rządzących się nie tylko obiektywnymi kryteriami (o nie niekiedy trudno w humanistyce), ale właśnie różnymi modami i inspiracjami ideologicznymi; dalej – zamiast uznawać jako nieuchronne pisanie (a więc wcześniej: myślenie) wszystkiego po angielsku – może lepiej zastanowić się nad możliwościami, jakie otwiera dzisiejsza już (a tym bardziej jutrzejsza) technika w zakresie prezentacji własnych badań. Można to robić samemu: *self-publishing*, że użyję „nieuchronnego” angielskiego, w systemie otwartego dostępu w Internecie, nawet w języku polskim, daje już dziś, za pomocą istniejących narzędzi, takich jak Google translator i inne, coraz doskonalsze systemy tego typu, możliwość prezentowania swoich badań i dostępu do odbiorców z innych obszarów językowych. W każdym razie „staromodna” centralizacja i reglamentacja nie muszą być skutecznymi narzędziami wzbogacania efektów polskiej humanistyki, choć oczywiście rozumiem, że w intencji Ministerstwa jej celem jest eliminowanie patologii.

O tym wszystkim i o innych ważnych sprawach debatować będą zapewne uczestnicy Kongresu. W podsumowaniu mego tekstu, by nie wyczerpywać Państwa cierpliwości, skupię się tylko na jednej sprawie, która pojawia się na styku ministerialnych regulacji dotyczących listy wydawnictw i czasopism oraz nowej klasyfikacji dyscyplin. To jest także sprawa, od której zacząłem ten tekst: widoczne niebezpieczeństwo dalszego upodrzedzenia języka polskiego przez dzieło reformy. Potrzebę namysłu nad tą kwestią i działań organizacyjno-prawnych, które by ten stan zmieniły, uznał w czasie spotkania 15 stycznia wicepremier Gowin. Nie chciał jednak zgodzić się na zmiany w ogłoszonych już rozporządzeniach, mające na celu spłaszczenie różnic między „wyceną” najlepszych tekstów naukowych w języku (wydawnictwach i czasopismach) polskich z jednej strony i angielskich z drugiej. Poddałem pod możliwość dalszej dyskusji mój pomysł dodania do listy dyscyplin filologii polskiej. Wiem, że nie było jej także bezpośrednio przed „listą Gowina”, ale przecież filologia polska była wcześniej jeszcze wyodrębniona jako osobna gałąź neofilologii, równoważna wobec wszystkich pozostałych z tego prostego powodu, że to wyodrębnienie (czyli podkreślenie znaczenia naukowego i tożsamościowego zarazem) dokonywało się w ramach polskiego systemu szkolnictwa wyższego i miało służyć uznaniu jej specyficznego zadania w naszym społeczeństwie, wobec polskiej kultury.

Ograniczanie liczby zalecanych wydawnictw i redukcja ewaluacji pracowników i jednostek naukowych do wyceny „punktowej” za obecność w obiegu międzynarodowym – to w dziedzinie humanistyki, zapewne inaczej niż w obszarze nauk ścisłych i przyrodniczych, medycznych czy inżynieryjno-technicznych, rozwiązanie nieroztropne. Tak by to pewnie ocenili ci obywatele,

którzy domagali się, by historię, prawa i kroniki prowadzić i udostępniać przede wszystkim w polskim języku i którzy wzywali, by raczej znosić bariery niż jej wznosić, raczej deregulować niż regulować i centralizować. Dziś przyłączam się do tego apelu sprzed wieków, bowiem wydaje mi się znów aktualny. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego powinno ten apel usłyszeć, powinni nad nim zastanowić się obywatele, którzy na to Ministerstwo, tak jak na wszystkie inne, łożą ze swoich podatków.

30 lat temu, na progu nowej epoki w naszych dziejach, miałem okazję zapytać mistrza naszego cechu, profesora Stefana Kieniewicza, o to czy historia, a szerzej – refleksja humanistyczna nad naszą przeszłością – będzie nam jeszcze potrzebna, nie w zamkniętych murach akademii, ale w społeczeństwie? Odpowiedź, jakiej udzielił, precyzyjnie opisuje tę część funkcji humanistyki i nauk społecznych, którą reforma, skupiona na wąsko rozumianej sprawozdawczości i ewaluacji wedle coraz bardziej abstrakcyjnych norm, lekce sobie waży. Posłuchajmy więc starego mistrza: „Hipotetycznie swobodny i zasobny Polak przyszłego stulecia porać się będzie nadal z problemami, które wymagać będą jakiegoś *quantum* wiedzy o przeszłości. Chyba nie zmierzamy do tego, ażeby przestał się on czuć Polakiem? Ugruntowana świadomość narodowa czerpie soki z minionych stuleci: nie tylko z kultu Chrobrego, Jagiełły i Kościuszki, ale i z nawiązywania do ideowych korzeni: do antyku, do chrześcijaństwa, do Oświecenia, do romantyzmu. Nadal również, zakładać trzeba, mieć będziemy tych samych co dzisiaj sąsiadów. Winni będziemy, jeśli mamy nadal istnieć, żyć z nimi w przyjaźni i zgodzie. To zaś między innymi wymagać będzie od nas rozeznania w przeszłości owych sąsiadów – w tym, jak oni sami widzą i rozumieją swoją własną przeszłość, a więc i nasze miejsce w przeszłości. Mamy za sobą z górą dwa stulecia bardziej i mniej dotkliwego zniewolenia. Nader skłonni jesteśmy do zwalania winy naszych klęsk na innych. A przecież nie wydobędziemy się z dzisiejszej biedy bez rachunku sumienia z własnych przewin – nie tylko dawnych, saskich i targowickich, ale i całkiem świeżych, powojennych. Katalogu wad narodowych nie muszę wyliczać, każdy je zaobserwuje, najchętniej u swego bliźniego... Każda z nich ma swoje korzenie w przeszłości i – to też argument, żeby tę przeszłość znać. Dwa ostatnie stulecia to nie tylko epoka uciemnienia; to również lata oporu, wytrwałości, ofiarności, patriotyzmu, innymi słowy – przetrwania. W stuleciu, które dobiega końca, coś znaczą daty: 1918, 1920, 1956, 1980, 1989. Historię owych dat wypadnie nam przekazać następnemu pokoleniu. Nie dla próżnej chwały, ale ku pamięci i przestrodze.”

Dorobek polskiej humanistyki, mierzony w punktach, wedle klasyfikacji OECD, bazy firmy Elsevier, czy listy filadelfijskiej, nie wystarczy, by wykonać to zadanie. A Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, organizując system pracy i karier zawodowych dla nowego pokolenia uczonych, nie powinno o tym specyficznym zadaniu humanistyki zapominać.